

ROZDZIAŁ 3

Michał 'Veron' Tusz

Trzynastka, część 2

13

Przed wojną mówiło się, że gesty znaczą więcej niż słowa. Polityka i związane z nią wydarzenia na międzynarodowej arenie na bieżąco weryfikowały sens tej sentencji. Na krótko przed Dniem Załamania, Breakdown lub III Wojną Światową, jak przyjęło się na całym świecie, gesty przestały znaczyć cokolwiek, zastąpione kaskadami pustych, bezsensownych, pozbawionych treści wyrazów. Ludzie prześcigali się w ilości wypowiedzianych słów, nie mówiąc przy tym praktycznie nic. Powiedzieć a mówić jak patrzeć a widzieć.

III Wojna Światowa była nieunikniona. Prędzej czy później musiało do niej dojść. Truizm, i co z tego. Wybuchła, stając się najkrótszym i jednocześnie najbardziej znamienym w skutki konfliktem w dziejach świata. Ludzkość stała się zbyt pyszna, zbyt zachłanna, zbyt hedonistyczna. Największym krajom świata wciąż było mało, chociaż ich obywatelom żyło się bardziej dostatnio, niż miało to miejsce kiedykolwiek wcześniej. Wszystko na tym świecie ma sprawić człowiekowi przyjemność. Kolejna truistyczna prawda, a stała się mottem dla wielu. W tym dla najpotężniejszych.

Po wojnie gesty wróciły do łask, a słowa zyskały na wartości. Sześcioro ze Schronu Numer Dziewięć przekonało się o tym i miało tego doświadczyć jeszcze nie jeden raz. Podjęli decyzję i ruszyli na północ. Kilka słów, jeden gest. I miasto o znaczącej nazwie.

Gesty znaczą tyle, co słowa. Słowa równoważne gestom.

Dotarli do Konieczpola wczesnym popołudniem. Pogoda była męcząca. Było wyjątkowo ciepło, wysoka wilgotność powietrza, przy tym parno i duszno. Zero wiatru. Typowa cisza przed burzą.

Samo miasto nie różniło wiele od zrujnowanych miejscowości, których zobaczyli dotąd multum, okazało się jednak wyjątkowe. Przed usytuowanym po lewej stronie w pewnej odległości od szosy, ogrodzonym resztkami siatki stanowiącej niegdyś płot, piętrowym domem, który zachowany był we wcale niegorszym stanie, radośnie biegało i krzyczało kilkoro dzieci. Mieszkańcy schronu zatrzymali się i spoglądali na bawiące się podlotki z dystansu. Nie były zdeformowane jak dziecko w kopalni w Dąbrowie Górniczej. Mimo nikłej postury, wyglądały na zdrowe.

Po kilku minutach jeden z chłopców zauważył przybyszów i zwołał pozostałe dzieci. Nagle znieruchomiały i zamilkły, patrząc na sześcioro ze Schronu Numer Dziewięć z wyraźną obawą, po czym pędem rzuciły się w kierunku budynku. Podróżnicy spojrzeli po sobie.

– Myślicie o tym, co ja? – zapytał Ariel.

– Są dzieci, ale czy są też rodzice? – odparł Kapłan.

Ariel skinął głową.

– Nie dowiemy się, jeśli nie sprawdzimy – rzekła Oliwia.

Ruszyli w kierunku posesji. Nie uszli jednak daleko, gdy drzwi niskiego, murowanego domu po ich prawej stronie nagle otworzyły się z hukiem. Mieszkańcy schronu stanęli jak wryci, przestraszeni nagłym hałasem. Strach przeszedł w przerażenie, gdy zauważyli, że stojący w progu starszy człowiek z siwą brodą i pokrytym głęboki bruzdami czołem i rozoranymi bliznami policzkami bynajmniej nie zamierza zaprosić ich do środka – za to mierzy do nich z dubeltówki. I nawet gdyby nie zacięta mina, twarde spojrzenie i broń przyłożona do barku wycelowana w nich bez choćby jednego drgnienia, nie sprawiałby wrażenia spokojnego dziadka. Życie wyraźnie pulsowało w nim tętniącym rytmem.

– Kim jesteście i czego tu szukacie? – odezwał się szorstkim głosem. Mieszkańcy schronu milczeli onieśmieleni i wystraszeni.

– Pytam się?!

Ariel poczuł, jak stojąca obok niego Oliwia drży. Nikt jednak nie miał odwagi poruszyć się choćby o milimetr, nie mówiąc o wypowiedzeniu słowa.

– Dłużej nie będę czekać. – Pełen wigoru starzec zrobił krok naprzód.

– Jesteśmy!... – zaczął Ariel pospiesznie, – idziemy... ze Śląska...

– Ze Śląska? – przerwał mu starzec. – Uważasz, że w to uwierzę? Pytam się jeszcze raz, ostatni raz: kim jesteście i czego chcecie?

Ariel przełknął ślinę. Cisza ze strony pozostałych uświadomiła mu, że to jemu przypadła wątpliwa przyjemność konwersacji z uzbrojonym, nieustępliwym staruszkiem, z której z pewnością nie był rad.

– Jesteśmy mieszkańcami Schronu Numer Dziewięć – wyrzucił z siebie, – poszukujemy Schronu Numer Trzyście... Nie chcemy żadnych kłopotów. Szukamy tylko miejsca na nocleg.

Dziadek ze strzelbą zmierzył wzrokiem jego, a później pozostałych. Nie opuścił broni.

– Ze schronu, powiadasz. Którego?

– Z Dziewiątki – powtórzył Ariel.

– Gdzie on jest?

– W górach.

– Nieprawda. W górach była Szóstka.

Ariel odruchowo zerknął na stojącego obok Dziadka.

– Nasz schron umieszczony jest w górze Wolarz, w górach...

Sudetach – rzekł.

Starzec z bronią zmrużył oczy. Bruzdy na jego twarzy pogłębiły się.

– No tak, zapomniałem o Sudetach – powiedział do siebie. – Dlaczego skłamałeś, że jesteście ze Śląska?

– Nie powiedziałem, że jesteśmy ze Śląska, tylko że stamtąd idziemy – wyjaśnił Ariel.

– Nie przeżylibyście tam bez ochrony przeciwpromiennej.

– Doszliśmy tylko do obrzeży, do... – zatrzymał szukając w pamięci nazwy miasta.

– Dąbrowy Górniczej – przyszedł w sukurs Kapłan.

– Tak, do Dąbrowy – potwierdził Ariel. – Mamy licznik Geigera.

Wiedzieliśmy jak daleko możemy zajść...

– Pokaż – rozkazał starzec.

– Co?...

– Waszego Geigera.

– Ach, no tak... Kto go niesie?

– Ja – odrzekł David i sięgnął do plecaka.

– Spokojnie, spokojnie – powiedział ostrzegającym tonem starzec z bronią, niebezpiecznie drgając węsami, – powolutku.

David powolnymi ruchami zdjął plecak z ramion i otworzył go, po czym wyciągnął na zewnątrz urządzenie. Starzec chwilę przypatrywał się aparaturze i skierował wzrok na Ariela.

– Straciliśmy tam naszego przyjaciela, Rudego – kontynuował Ariel. – Jakies potwory zaciągnęły go w głąb starej kopalni. Wyglądali jak ludzie, ale byli... całkowicie zniszczeni... no... straszni... nie wiem, jak to określić.

– Górnicy... – szepnął starzec, opuszczając nieco strzelbę.

– Naprawdę nie chcemy sprawiać żadnych kłopotów – odezwał się Dziadek. – Jeśli nie chcecie nas tutaj, natychmiast się stąd wynosimy...

– W jaki sposób dotarliście aż tutaj? – przerwał mu starzec z bronią. – Z okolic Kłodzka to będzie jakieś dwieście kilometrów. Albo więcej.

– Wędrujemy już bardzo długo – odpowiedział Ariel. – Prawie miesiąc.

– I przeżyliście?

Ariel wzruszył ramionami.

– Jesteście uzbrojeni?

– Mamy tylko to. – Ariel wyjął z kieszeni pistolet Andrzeja Niewolskiego.

– No, no! – Starzec błyskawicznie podniósł swoją broń do zniszczonej twarzy.

– Przepraszam... – odparł Ariel, niezgrabnie wyciągając przed siebie pistolet, trzymając go dwoma palcami za lufę.

– Rzuć to!

Ariel wykonał polecenie. Broń z głuchym łoskotem upadła na zwirowane podłoże. Starzec przez dłuższą chwilę spoglądał na nich w milczeniu. Opuścił broń na wysokość łokci. Dostrzegli błysk jego przenikliwych oczu.

– Wygląda na to, że nie jesteście groźni – powiedział w końcu. – I z pewnością nie jesteście też Kibolami.

Nie wiedzieli, o czym mówił, ale żadne z nich nie śmiało się odezwać. Ariel nieśmiało pokiwał głową.

– To niewiarygodne, że przeżyliście tak długo z tak lichym uzbrojeniem. – Wskazał głową na leżący między nimi pistolet.

– On tak naprawdę nie jest nasz. Znaleźliśmy go... – odrzekł Ariel.

– Dlaczego opuściliście wasz schron?

– Rada Schronu wydelegowała nas do ekspedycji ratunkowej. Musimy odnaleźć Trzynastkę i uzyskać technologię, która umożliwi przetrwanie naszego domu.

– Tylko w sześć osób?

– W sumie było nas trzynaścioro, ale połowę straciliśmy w Czechach, a...

– W Czechach? – wszedł mu w słowo starzec. – Po cholere... – przerwał mu daleki odgłos zbliżającej się burzy. Starzec obejrzał się wokół siebie. – No, dobrze, chyba można wam zaufać. Wejdźcie – skinął w stronę domu, w którego progu stał – zaraz będzie lało. Zabierz swoją broń. Tylko nie próbuj jej używać...

Ariel i pozostali wymienili niepewne spojrzenia.

– Nic wam nie zrobię – rzekł uspokajająco starzec. – Jeśli miałbym was ustrzelić, już dawno leżelibyście tutaj martwi.

Przez moment stali w bezruchu. Ariel pierwszy wyszedł z szeregu. Sięgnął po broń, szybko schował ją do kieszeni i spojrzał na starca, którego zniszczone oblicze nieco złagodniało, lecz bystre oczy wciąż bacznie obserwowały.

– W porządku – powiedział chłopak. – Chętnie skorzystamy z gościny.

Podszedł do starca i wyciągnął rękę. Ten uścisnął ją mocno i skinął głową.

– Ryszard Milowicz.

– Ja jestem Ariel. To jest Daniel – wskazywał kolejno podchodzących niepewnie mieszkańców Schronu Numer Dziewięć – Oliwia, David...

– David? – Milowicz powtórzył angielsko brzmiące imię. – Jesteś Uspolakiem?

– Tak, moi rodzice byli naturalizowanymi Amerykanami – odparł chłopak.

– Nie radzę ci chwalić się tym w tych okolicach – rzekł Ryszard Milowicz. – Jeśli dorwaliby cię Kibole nie daliby ci pożyczki zbyt długo.

– Kim oni są? – zapytał Dziadek.

– To idioci – prychnął Milowicz z niesmakiem. – Cholerna hałastrą. „Pierworodni Pustkowi”, „Dzieci Wojny”, tak siebie przedstawiają. A to zwykli bandyci, nic więcej. Napadają, rabują, niszczą. Jakby mało było zniszczeń po wojnie. Uważają się za panów powojennych ziem. Całe szczęście, że swoje przyczółki mają kawałek drogi stąd. Ale i tak ich poznałem. Czasami zapuszczają się daleko.

– Zdaje się, że przed wojną „kibolami” nazywano kogoś innego? – rzekł Dziadek.

– Tak, kibiców sportu... chyba piłki nożnej? Nie pamiętam. Jeszcze na długo przed wojną była ich cała masa, później jeszcze więcej. Prali się po mordach w imię honoru swoich drużyn... bzdury... – Milowicz splunął z pogardą. – Potem zaprzestali wojen między sobą, a zaczęli z przyjezdnymi. Uspolakami, Chińczykami...

W oddali znowu zagrzmiało.

– Wchodźcie, nie będziemy tak gadać w progu.

– Mówią na mnie Dziadek, nie trudno domyślić się dlaczego. – Dziadek uśmiechnął się.

Milowicz skinął głową.

– A na mnie Kapłan – przedstawił się ostatni z sześciorga.

– Dziadek i Kapłan – powtórzył Ryszard Milowicz. – Niech i tak będzie.

Zamknął drzwi w momencie, gdy kolejny, silniejszy niż poprzednie, grzmot dobiegł ich uszu z zachodu.

W domu Ryszarda Milowicza było dość przestronnie, ale ciepło i przytulnie. Rozgościli się na porozstawianych fotelach i kanapie, które czasy świetności miały dawno temu, ale okazały się bardzo wygodne. W niezgrabnie wykutej dziurze w ścianie buzował ogień. Była tu także elektryczność. Milowicz posiadał agregat prądotwórczy, który znalazł i własnoręcznie wyremontował.

Gospodarz ugościł ich naparem z mięty, którą – jak się dowiedzieli – zbierał z pobliskich łąk i suszył. Miał także własną pasiekę, skąd czerpał miód. Kojący zapach i smak słodzonego wywaru był najlepszym, co spotkało ich od dawien dawna.

– Wracając do Kiboli. – Milowicz spojrzał na Davida. – Jeśli ich spotkacie i zapytają cię o imię, wymyśl jakieś polskie. Wszystko jedno jakie: Janusz, Krzysztof, byleco. Albo chociaż spolszcz własne, żebyś nie wymawiał go po angielsku.

– Czyli: Dawid? – chłopak wypowiedział imię po polsku.

– Tak już lepiej. Ale i tak dość niebezpiecznie. Twój wybór – odparł Milowicz. – Miejmy nadzieję, że nie będzie wam dane ich spotkać – westchnął. – A więc poszukujecie jednego ze schronów, tak?

– Tak, Schronu Numer Trzyście – odpowiedział Ariel. – Trzynastki.

– Cóż, nie pomogę wam. Nie mam pojęcia, gdzie on jest. Ale możecie spróbować odwiedzić schron kielecki. A w zasadzie świętokrzyski. Numer Cztery.

Mieszkańcy Dziewiątki ożywili się.

– Czy to daleko? – zapytała Oliwia.

– Dzień drogi żwawym marszem. Ale nie odległość jest tutaj problemem.

– Co takiego? – zapytał Ariel.

– Chińczyki – odparł Milowicz. – Na południowy-wschód od Kielc wciąż jest ich od cholery. Nie wiedzieć czemu bomby ominęły to ich siedlisko w Ostrowcu, jakie otrzymali po „Zasiedleniach”. Przeżyli wojnę i zaczęli pieprzoną ekspansję. Z tego co wiem dotarli do Rzeszowa, a niektórzy mówią, że wzdłuż Sanu nawet pod granicę z Ukrainą. Cóż, w mnożeniu się zawsze przodowali... W góry się nie zapuszczają przez Górali. Z tego, co wiem próbowali też dotrzeć do Krakowa, ale im nie poszło. Promieniowanie. Co prawda nie takie jak na Śląsku, ale jednak. Zajęli już Rzeszowszczyznę. I obawiam się, że ich kolejnym celem może

być Ukraina albo zachód, czyli my. Nie da się z nimi dogadać. Nie wpuszczają na swój teren prawie nikogo, tylko handlarzy. Mam nadzieję, że wiecie, o czym mówię? – dodał po chwili.

Skinęli głowami, pamiętali jeszcze lekcje historii przedwojennej. Tuż przed fuzją z NATO Organizacja Narodów Zjednoczonych podjęła decyzję o tak zwanych „Zasiedleniach”, czyli masowym przesiedlaniu ludzi z obszarów przeludnionych do krajów wysoko rozwiniętych, ale o niskim przyroście naturalnym. Polska była wówczas w kryzysie – niż demograficzny nigdy nie był tak głęboki, więc została wybrana jako jeden z krajów „przyjmujących” przymusowych imigrantów. ONZ postanowiła, że stale rosnąca w liczbę ludność chińska zostanie przesiedlona do Europy, w tym – w dużej mierze – do Polski. Jako że wcześniej Chiny otrzymały w Polsce ogromne połacie ziemi, głównie świętokrzyskiej i Rzeszowszczyzny, pod umowy wieczyste – w ramach rekompensaty za pomoc finansową w sprawie ratowania budżetu Unii Europejskiej – miejsce na zasiedlenia znalazło się niejako automatycznie. Ostrów Świętokrzyski i znaczna część Kielecczyzny zostały dosłownie „schińszczone” w gigantycznym, wieloetapowym przedsięwzięciu. Po wojnie zaś, którą jak już wiadomo Chińczycy przetrwali, rozpoczęli oni zajmowanie kolejnych terenów na własną rękę.

„Zasiedlenia” miały – między innymi – ogromny wpływ na decyzję o wystąpieniu Polski z Unii, co wkrótce nastąpiło przy aktywnym wsparciu USA. Była to także przyczyna kolejnej fali ogólnopolskich protestów i zjednoczenia „kiboli” do walki z Chińczykami, ale także Amerykanami. Po przejęciu kontroli w ONZ Stany Zjednoczone zbliżyły się do Polski jeszcze bardziej, głównie za sprawą polskiego premiera Ricky'ego Millera, nieformalnie nazywając Rzeczpospolitą pięćdziesiątym drugim stanem. Wówczas powstał termin Uspolaka – „US-Polish”, Amerykanina „naturalizowanego” na Polaka, czyli z błyskawicznie, niemal „z miejsca” nadanym obywatelstwem. Wielu polskich obywateli odczytywało spolegliwość rządu jako poddawanie autonomiczności, a nawet suwerenności Polski. To także stało się jedną z przyczyn późniejszego upadku Millera.

Ryszard Milowicz kontynuował:

– Chińczyki, a wcześniej cała zgraja tych cholernych nierobów, studentów. A po reformach gospodarczych Amerykańce. Rozgrabili nasz kraj. Kompletnie. Politycy w milczeniu patrzyli na gospodarczy rozbiór Polski. Pieniądze leżały na ziemi. Ludzie sami do tego doprowadzili. Własną głupotą.

Milowicz westchnął głęboko i zamilkł, mieszkańcy schronu zaś niemal namacalnie czuli trawiającą go od wewnątrz gorycz. Otrząsnął go kolejny, głuchy odgłos zbliżającej się burzy.

– Po co poszliście do Czech?

– Rada Schronu poleciła nam rozpocząć poszukiwania właśnie tam – odparł Ariel. – Nie wiemy dlaczego. Ale musieliśmy od czegoś zacząć, więc tam poszliśmy...

– Dziwne – wszedł mu w słowo Milowicz – dlaczego schron z „Przetrwania” miałyby znajdować się na terytorium Czech? Choć akurat o Trzynastym nigdy nie słyszałem... W każdym razie Rada waszego schronu powinna wiedzieć, że z Czechami trzeba uważać.

– Dlaczego?

– No jak to? – zdziwił się Milowicz. – Przecież Czesi zachorowali na nas na krótko przed wojną, nie wiecie o tym?

Pokręcili głowami. Jedynie Dziadek odezwał się:

– Coś mi się kojarzy, ale byłem wówczas dwudziestolatkiem. Nie miałem głowy do polityki, prędzej do zabawy, dziewcząt... pierwsza praca...

– Ile masz lat? – zapytał Milowicz.

– Pięćdziesiąt jeden.

– Jaki tam z ciebie dziadek. – Gospodarz machnął ręką. – Mógłbyś być moim synem. Ja mam siedemdziesiąt trzy.

Mieszkańcy Dziewiątki nie mogli uwierzyć, jak wiele życia buzuje w tak wiekowej osobie.

– Co do Czechów – mówił dalej Milowicz – w głowach im się przewracało od kiedy zalegalizowali u siebie narkotyki, zdaje się jakoś na początku wieku. W latach trzydziestych było u nich najwięcej ćpających w całej Europie. Nie słyszeliście o skandalu, kiedy w telewizji pokazywali naćpanego polityka, co to wariował w ich parlamencie? Czego oni was uczyli w tym schronie? To było jedno z najbardziej znanych wydarzeń w swoim czasie. Każdy znał jego nazwisko – Létatik. No a później wpadli na pomysł tego muru...

– No właśnie, o co chodzi z tym murem? – rzekł David. – Gdy tam weszliśmy od razu zaczęli do nas strzelać. Zamordowali... – przełknął ślinę – piątkę ludzi. Ot, tak...

– Podobno ubzdurali sobie, że Polacy, tak silnie wspierani przez USA, będą chcieli ponownie do nich wkroczyć jak w 1968 roku. – Wzruszył ramionami Milowicz. – No i zaczęli budować swój „Czeski Mur”.

Westchnął.

– To zawsze było osobliwe państwo. Przez lata nie angażowali się w żadne działania zbrojne. Żyli sobie spokojnie. A jak już zaczęli spadać, to na łeb na szyję. Chociaż nigdy nie słyszałem o polskich ofiarach po czeskiej stronie... A nie, przepraszam – były ofiary. Zaraz po igrzyskach. To też było głośne...

– Powiedz nam coś więcej o schronie, o którym wspomniałeś – rzekł Ariel.

Milowicz usadowił się wygodniej w fotelu.

– Podejrzewam, że nie różni się wiele od reszty z projektu „Przetrwanie”. Wszystkie były budowane według jednego planu. Ludzie opuścili go już dawno temu. W tym ja. Nie zagrażało nam promieniowanie, więc postanowiliśmy zobaczyć świat po wojnie. Próbowaliśmy dotrzeć do Warszawy, ale natrafiliśmy na Kiboli. W drodze do Krakowa przepędzili nas Chińczycy. Na Śląsku... wiadomo. Dotarliśmy tutaj. Do Koniecpola. I chyba faktycznie to jest koniec dawnej Polski.

Chwilę ciszy wypełnił kolejny daleki grzmot. Milowicz kontynuował:

– Górnicy na obrzeżach Śląska to już nie ludzie. Zresztą, sami o tym wiecie. Podobnie Górale. Słuchałem opowieści ludzi, którzy jakimś cudem zdołali dotrzeć w Tatry, do Zakopanego. Górale uciekli w góry, ale opad radioaktywny znad Kog-u doleciał. Zmienił ich jak Ślązaków, choć nie w takim stopniu. Większy wpływ wywarł na zwierzęta. Zmutowane zwierzęta wielkości ciężarówki, ogromne ptaki i inne ustrojstwo. Wątpię, żeby gdziekolwiek dalej stąd istnieli jeszcze prawdziwi Polacy. Brakuje jedynie, żebyśmy zaczęli się nawzajem pożerać...

Obywatele Schronu Numer Dziewięć spojrzeli po sobie. Milowicz zauważył.

– Co? – zapytał.

– Obawiam się, że to już się dzieje – rzekł Ariel.

– Co się dzieje? – Milowicz zmarszczył brwi.

Ariel wyciągnął z kieszeni pistolet Andrzeja Niewolskiego. Ryszard Milowicz znieruchomiał, lecz Ariel uspokoił go, kładąc broń na stoliku przed sobą.

– Kanibalizm – powiedział. – Historia tego pistoletu to potwierdza. I wspólnymi siłami opowiedzieli o tragicznym życiu Andrzeja Niewolskiego. Milowicz sprawiał wrażenie wściekłego. Gdy jednak odezwał się, wyczuli, że był wyraźnie poruszony. Najwyraźniej jego twarz tak właśnie wyrażała wzruszenie i niedowierzanie. Powiedział po długiej chwili milczenia:

– Wojna nie zniszczyła wszystkich miast, ale ludzi. Dosłownie i w przenośni.

Przerwał i w skupieniu upił łyk swego wywaru z mięty. Chwila ciszy trwała jeszcze dłużej. Nie zagrzmiało.

– „Miejsce na mapie, gdzie kończy się papier, gdzie farba się zmywa – Polska się nazywa”. O, tak... Polaczki przez lata nie chcieli przyznać się przed sobą do tej oczywistej prawdy. Łgali sami sobie przez lata. Byli wrzodem na tyłku Europy, Rosji i jej Paktu, a później Cesarstwa. Kombinowali, oczywiście, jak zawsze, dlatego sporo ugrywali. Gdy po wyjściu z Unii Ameryka znowu zaczęła pompować w nas swoje dolary, myśleliśmy, że złapaliśmy Boga za nogi. Co za obłuda!...

Milowicz oddychał ciężko. Otarł zniszczone czoło i podrapał się jasnej brodzie.

– Przepraszam was. Uniosłem się. Zżera mnie złość. Na siebie, o swoją głupotę. I że muszę tu żyć z ludźmi przesiąkniętymi do szpiku kości tą „świątynią”, jak mówią o przedwojennej Polsce. Do czego doprowadziła ta „świątynia”? Że teraz ich wnuki nie mają rodziców? Że muszą tu gnić? Że nie mają żadnej przyszłości? W imię czego?! Cholerne, stare graty... – dodał.

Sześcioro ze Schronu Numer Dziewięć spoglądało na niego w milczeniu. Milowicz głęboko westchnął.

– Jeżeli chcecie, ryzykujcie. Do Czwórki nie jest daleko, ale musicie być bardzo ostrożni. Chińczyki mogli tam dotrzeć już dawno, nie mówiąc o zajęciu go. Dam wam mapę, żebyście wiedzieli, gdzie szukać.

Dźwignął się i podszedł do niszczonej komody. W czasie, gdy przeszukiwał kolejne szuflady, odezwał się Dziadek:

– Wspomniał pan o dzieciach. To te, które widzieliśmy pod domem naprzeciwko?

– Te same – odparł Milowicz, pochylając się ku ostatniej szufladzie.

– Co się stało z ich rodzicami?

– Kibole – odrzekł Milowicz, prostując się. – W tym, niestety, są skuteczni. W zabijaniu Bogu ducha winnych. Swoją drogą, nasi mogli zostać z dupą na miejscu i nie pchać się do walki z tymi idiotami. No, i okazali się nie mniejszymi od nich. Staruchów nie chcieli brać ze sobą. Poszli sami i ślad po nich zaginął. A my nie możemy nawet zacząć ich szukać.

– Dlaczego? – zapytała Oliwia.

– Bo jesteśmy starymi prykami. – Milowicz usiadł ciężko w fotelu.

– Ot, i cała prawda. Ale przenieść się i tak musimy, a te stare, uparte graty nie chcą. Tkwią w swoich idiotycznych przekonaniach.

– Czemu musicie się przenieść? – rzekł Ariel.

– Mój Geiger wykrył, że woda zawiera coraz większe dawki promieniowania. Podejrzewam, że skażenie ze Śląska przedostało się w końcu do podziemnych źródeł. Długo było w miarę dobrze, ale... musiało do tego dojść. Ci idioci chcą tu jednak pozostać. Twierdzą, że nie chcą się ruszać, że starość na nich weszła. Cholera... Każdy z nich jest co najmniej piętnaście lat młodszy ode mnie. Mają wspólnego wroga, a walczą ze sobą. W ogóle nie myślą o młodych. Ach... – przerwał nagle coś sobie przypominając – no tak, dzisiaj mamy naradę. Dobrze, że jesteście, może razem uda nam się ich przekonać. Możecie zostać u mnie na noc. Jutro ruszycie w dalszą drogę.

Mieszkańcy Dziewiątki spojrzeli po sobie. Kolejny grzmot przypomniał o zbliżającej się powoli burzy. Uznali, że nie ma co walczyć z naturą.

– Dziękujemy – rzekł Ariel.

– I dobrze – odparł Milowicz i wychylił się do niego, wręczając mu mapę. – Proszę, to dla was. Jest podniszczona, ale czytelna. Mnie się już nie przyda.

– Będziecie wiedzieć, dokąd się udać?

– Tak, znam te tereny.

– W takim razie dziękuję.

– Narada jest dopiero wieczorem. Zaraz mają przyjść dzieci, poznacie ich. Inteligentne, mądre dzieciaki, naprawdę mi ich szkoda...

I jakby na zawołanie rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę! – krzyknął Milowicz i szybko zgarnął broń ze stołu, podając ją Arielowi. – Schowaj.

Drzwi się otwały i do wewnątrz wpadło czworo maluchów.

Trzech chłopców mniej więcej w jednym wieku i starsza od nich dziewczynka tylko na pierwszy rzut oka – i to z daleka – sprawiali wrażenie w pełni zdrowych. Owszem, nie zostali poddani okrutnej mutacji jak Ślązacy, ale też nie byli okazami pierwszorzędного zdrowia. Ziemista cera, niski wzrost, drobna postura – te cechy mówiły o nich wiele. Zgodnym chórem powiedzieli: „dzień dobry, dziadku Ryśku”, a teraz stali w szeregu przy drzwiach ze strachem wymieszonym z zaciekawieniem spoglądając na sześcioro z Dziewiątki.

– Witajcie, dzieci – rzekł Milowicz, wstając. – Wchodźcie, nie bójcie się. Ci państwo to moi przyjaciele, nie zrobią wam krzywdy.

Dzieci niepewnie, jedno za drugim podchodziły do Milowicza, nie spuszczać jednak wzroku z nieznanym.

– Usiądźcie tutaj. – Milowicz rozłożył na podłodze wypłowiały koc.
– Co dzisiaj porabialiście?

– Bawiliśmy się – odrzekł jeden z chłopców, wykręcając szyję, by dostrzec siedzącego za nim Daniela, którego ramię miało większy obwód niż całe ciało malucha.

– W co się bawiliście?

– Najpierw w „rodzinę w schronie”, a potem w berka – odparł chłopiec o jasnych włosach.

– Justynko, przeczytałaś coś swoim braciom?

– Tak, dziadku – powiedziała dziewczynka, odwracając wzrok z Kapłana na Milowicza. – Czytaliśmy wiersze.

– Jakie?

– O kacze, i złotej rybce, i... o rzepce?

– Tak, o rzepce – przytaknął Milowicz. – A czego się dowiedzieliście z wiersza o rzepce? Mateusz?

– Że żeby wyrwać coś z ziemi trzeba wielu ludzi? – odrzekł milczący dotąd, piegowaty chłopiec.

– Jeżeli jest to coś dużego i wymaga siły, to tak, masz rację. Ale czego jeszcze uczy ten wiersz?

– Tego, że żeby coś osiągnąć trzeba sobie pomagać – odparła Justynka. – Tak jak dziadek pomógł babci...

– A wnuczek Mruczkowi!... – krzyknął najdrobniejszy z chłopców.

– Jasiek, nie wchodź w słowo siostrze – strofował go Milowicz.

– Przepraszam...

– Poza tym to nie wnuczek ciągnął Mruczka, tylko...

– Mruczek wnuczka! – chórem dopowiedziały dzieci.

– Dokładnie – potwierdził Milowicz. – Justynka ma rację i wy zawsze o tym pamiętajcie. Wspólnymi siłami zawsze osiągniemy więcej niż w pojedynkę.

– Nawet jak wszyscy na koniec wywrócą się? – zapytał piegowaty chłopiec.

– Tak, Łukasz, nawet wtedy. Bo wspólna praca, nawet okupiona pewnym wysiłkiem czy poświęceniem, czy nawet upadkiem, ale wykonywana razem, zawsze przyniesie wam więcej pożytku niż zmaganie się z czymś trudnym i wymagającym samemu. Zawsze o tym pamiętajcie. Razem możecie więcej. Razem przetrwacie wszystko.

Milowicz zrobił chwilę przerwy, żeby dzieci poukładały sobie wszystko i pomyślały przez moment nad jego słowami. Ale nie tylko dzieci miały nad czym rozważać.

– No dobrze. Posłuchajcie tej opowieści: plastikowy żołnierz został wysłany na front zabawkowej wojny. Szedł wiele dni, pokonał wielką odległość. W końcu był bardzo mały i miał króciutkie nóżki. Dlatego szedł bardzo długo. Gdy wreszcie dotarł na pole bitwy i rozejrzał się wokół siebie przestraszył się tak bardzo, że zawrócił i uciekł z powrotem do domu. Kiedy dotarł do domu zamknął się w swoim pokoju i myślał. Nie mógł pogodzić się ze swoim tchórzostwem. Z tym, że zostawił swoich przyjaciół na pastwę losu. Siedział i myślał tak długo aż stał się dorosły. Jak myślicie, co go dręczyło?

– Wyrzuty sumienia? – zapytała Justynka.

– Dokładnie tak. Wyrzuty sumienia męczyły go tak bardzo, że postanowił wrócić i pomóc swoim przyjaciołom. Gdy znowu dotarł na pole bitwy zobaczył, że wojna już się skończyła i nikogo już tam nie było. I odtąd wyrzuty sumienia dręczyły go jeszcze mocniej, bo nie wiedział, co stało się z jego przyjaciółmi. Jak myślicie, co wtedy czuł?

– Był smutny – powiedział mały Jasiak.

– Co jeszcze?

– Był zły – dodał Mateusz.

– Tak?

– Był zły na siebie – powiedziała Justynka. – Mógł pomóc swoim przyjaciołom, ale uciekł.

– I przez niego przegrali bitwę – dodał Jasiak.

– Nikt nie powiedział, że przegrali bitwę – odparł Milowicz. – Ale to możliwe. A kto na pewno przegrał swoją bitwę?

Pytanie okazało się zbyt trudne.

– To plastikowy żołnierz, który stchórzył i uciekł do domu przegrał swoją bitwę. Bitwę ze strachem, ze swoimi słabościami. Zawsze pamiętajcie – musicie być odważni, ale mądrze odważni. Nie bójcie się stanąć do walki, jeśli to konieczne. Wasz honor, wasza godność to wszystko, co macie. Pamiętajcie – nigdy nie zaczynajcie walki, zawsze ją kończcie.

Milowicz spojrzął po siedzących w skupieniu dzieciach.

– No dobrze, posłuchajcie takiej opowieści: była sobie żabka, która szła powoli alejką w parku. Alejka jednak była nowa i beton, którym została wylana jeszcze nie zdążył wystygnać. Żabka była zamyślona i nawet nie spostrzegła, że wpadła w kłopoty. O czym mogła myśleć?

– O tym, co zje na śniadanie? – podsunął Łukasz.

– Tak, o czym jeszcze?

– O swoich braciszkach... – rzekł Mateusz.

– ... i siostrze! – dodał mały Jasiek.

– Tak. Mogła myśleć o tym wszystkim. I tak myślała, i myślała, i w tym zamyśleniu spostrzegła, że jej małe łapki ugrzęzły w betonie, który zdążył już stwardnieć. I nie mogła się ruszyć, bo była malutka, a betonu było bardzo dużo. I tylko jej główka została na wierzchu.

Milowicz zrobił chwilę przerwy.

– Czy wydostała się z betonu? – zapytał Łukasz.

– Tak, wydostała się. A wiecie jak? Pewien królewicz, który szukał ukochanej, zauważył uwięzioną żabkę. Wiedział, że musi całować każdą żabę jaką spotka, bo tylko wtedy żabka zmieni się w księżniczkę z jego snów. Więc pocałował ją w główkę i... żabka zmieniła się w królową. I wówczas beton nie był już dla nich żadną przeszkodą. Odkuli się z niego i razem ruszyli w świat.

– Jak żabka zmieniła się w królową? – zapytał Jasiek.

– Dzięki magii. Magii miłości...

– To ludzie umieją... „magikować”? – zastanowił się jasnowłosy Mateusz.

– „Magikować” może i nie. Ale czarować – jak najbardziej...

– My też to potrafimy?

– Każdy człowiek, jeśli tylko chce, może mieć magiczną siłę. Pamiętajcie magiczne słowa?

– „Proszę, dziękuję, przepraszam”! – chórem odrzekły dzieci.

– Właśnie. Nigdy o nich nie zapominajcie. Dawno temu znaczyły więcej, później nie znaczyły nic. Teraz... nie można o nich zapomnieć.

– W co jeszcze ludzie potrafili się zmieniać? – rzekła Justynka.

– W różne zwierzęta. Ale najczęściej był to osioł.

Mieszkańcy Schronu Numer Dziewięć zaśmiali się. Dzieci spojrzały na nich, nie rozumiejąc. Na zewnątrz zagrzmiało. Milowicz nieco spochmurniał.

– Na koniec opowiem jeszcze jedną, krótką historyjkę – powiedział.

– Byli sobie chłopiec i dziewczynka. Znali się już tyle czasu, że kiedy przyszła wojna... – zatrzymał się. Przetarł dłonią czoło. – Przepraszam... kochali się bardzo. I całą swoją miłość postanowili zamknąć w drewnianej skrzyneczce. Lecz miłość, jeśli jest prawdziwa, jest gorąca i płonie. A ta była prawdziwa, więc drewniana skrzyneczka nie była dobrym pomysłem... nie sprawdziła się...

Ponownie przerwał. Nie tylko dzieci patrzyły na niego ze zdziwieniem. Milowicz patrzył w jeden punkt na podłodze z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Dziadku... – Justynka ciągnęła go za nogawkę. – Dziadku...

Milowicz ocknął się.

– Przepraszam was, kochani... – odetchnął głęboko. – Zmykajcie już do domu. Zbliża się burza. Jutro dokończę wam tę historyjkę...

Dzieci wstały, a każde z nich Milowicz przytulił mocno do piersi. Później zgodnym chórem rzekły: „do widzenia” i opuściły dom.

Mieszkańcy Schronu Numer Dziewięć byli odrobinę skonsternowani nagłą zmianą nastroju o Milowicza, z której po chwili sam się wytłumaczył:

– Nie wiem co powiedzieć – zaczął – głupio mi teraz. Czasem wracają wspomnienia. Stare dzieje. Ale bywają bolesne. Wybaczcie.

– Nie mamy ci nic za złe – rzekł milczący dotąd Kapłan. – Tym maluchom jesteś winien przeprosiny, nie nam.

Milowicz skinął głową.

– To prawda. Biedne dzieciaki. Nie zasługują na takie życie.

Westchnął.

– Jest jeszcze trochę czasu aż przyjdą te cholerne pryki. Pozwólcie, że coś wam odtworzę.

Wstał i podszedł do szuflady, z której wcześniej wyjął mapę. Wyciągnął srebrne, niewielkie urządzenie.

– To dyktafon – wyjaśnił Milowicz. – Jest na nim relacja z tego, co działo się na Śląsku zaraz po wojnie. Ach, bym zapomniał – znacie angielski? Głupie pytanie, wiem, ale nagranie jest po angielsku.

– Tak, uczyli nas w schronie – odparł Ariel.

– To dobrze, bo nie mam siły tłumaczyć. Posłuchajcie.

Ryszard Milowicz wcisnął przycisk na dyktafonie, który jakimś cudem ocalał w wojennej pozodze. Przymknął oczy. A oni wsłuchiwali się w dźwięczny głos młodego żołnierza, świadka tragedii. Innej i tej samej ofiary wojny.

